

— Jak on się postarzał, ma chère! — rzekła hrabina do wnuczki, kierując lorgnon ku wejściu, w którym właśnie ukazał się K. Wymieniając rzadkie ukłony, z głową dumnie wzniesioną przechadzał się po sali.

— A kóż to taki, babuniu? — spytała wnuczka.

— Kiedy bylam w twoim wieku — wyjaśniła stara pani z wyrazem rozmarzenia, które na chwilę ożywiło jej wyblakłe oczy — ja i moje rówieśnice przepadałyśmy za nim. To K, sławny, wspaniały X.

— Rzeczywiście, słyszałam coś o nim. Za czasów babuni był podobno pierwszym lwem salonów — powiedziała wnuczka, z wyraznym wysiłkiem tłumiąc ziewanie. I rzuciła powidocznie spojrznięcie młodzikiem księciu Z., który niedawno powrócił z wojażu po europejskich kuracjach.

— Ach ma chère gdybyś wiedziała, jak był piękny! Zresztą przynasz, że przystojny pozostał do dziś. Kiedy pojawiał się w nowym fraku, po tygodniu cała młodzież nosiła fraki tak samo, a z niezawodnym smakiem skrojone. Jego anegdoty i bons mots obiegaly cały wyższy świat. Przy tym farmazon z niego był i skandalista. Gorszono się jego wyskokami, po salonach wrzeso jak w ulu, gdy ten oryginał coś sprokurował. Ale gorsząc, umiał bestia imponować. Bo pod maską swiatowca krył zagadkowe serce i głęboki umysł. Nieraz — pamiętam — rozprawiał o tym, że człowiek jest istotą niezwykle skomplikowaną, że zwykłymy sądzić po pozorach, że nigdy naprawdę nie wiemy — i wiedzieć nie będziemy — kim jesteśmy. Tęga głowa! My, dziewczęta, szalałyśmy za nim...

Ludwik Flaszen

Recenzja ze staroświecką scenką

— Ale ta jego elegancja sprzed czterdziestu lat jest doprawdy nie do zniesienia! — przetrwała wnuczka rzewną opowieść starej pani. I przestała młodzikiem księciu Z. niewyraźny uśmiech.

— Toteż powiadam, że się postarzał — sprostowała z irytacją w głosie hrabina. I dodała ciszej, z godnością: — A nie zapominaj, snioku, że starszym należy się szacunek.

— To po co udaje młodzika? Popatrz tylko, babuniu, jak on się porusza. Te manery lwa (salonowego)! Czy widział kto kiedy, żeby lew salonowy był stary?

Tymczasem X. kilkakrotnie okrążył salę, lecz nie mówiąc — poza konwencjonalną chwilę powitań — znaleź się trwałszego towarzyskiego kontaktu, zniknął za drzwiami pokoju, gdzie grało w karty.

— Starość lwa salonowego jest starością w dwójnasób — zakonkludowała hrabina, która — jako dawna wielbicielka X-a — miała w sobie coś z filozofa.

I zakonkludowała słusznie. Czego dowodem premiera Pirandella w Teatrze Starym.

Starość kogoś, kto chodzi w ustalonej gloriu nowatora, jest starością w dwójnasób. Im bardziej kokietuje paradoksami, tym głębiej popada w banalne oczywistości. Im najmniej podnosi bunt przeciw konwencjom, tym bardziej jest gładki i ugodo-

wy. Im bardziej zaleca się młodością, tym ostrzej trąci myszką. Im wyżej mierzy, tym niżej spada.

Konserwatyzm z myszką — to coś, w czym nie ma sprzeczności; komedia salonowa lub wodewil może zachować wdzięk staroświeczyny. Nowatorstwo z myszką — to kontradycja krzycząca, złośliwy wybrzyk czasu, martwe życie, biała czerń. I to chyba dzisiaj tak jest w Pirandellu irytujące. Nawet prawda jego przypomina róż. Tylko tu i ówdzie spod tego różu błysnie coś, co pozwala się domyślać mintonię świętości pisarza...

Obsesją Pirandella — tym, co nazwano pirandellizmem — jest wieloznaczność. Wieloznaczność świata i człowieka. Ale środki, jakimi posługuje się pisarz, są jednoznaczne. Rzecz cała rozgrywa się w planie retoryki. Materia twórcza Pirandella ciąży ku jednoznaczności. Nie stwarza on wieloznacznej wizji świata, tylko uzasadnia logicznie, iż świat jest wieloznaczny. Pozostaje więc gola teza. I kiedy teza przestaje szokować sama przez się, czar pryska. Jak on się postarzał, ma chère!

A na domiar Pirandello nie wie, co to humor. Tezy swoje

traktuje z śmiertelną powagą, rzekłbym, z jakąś posępną zajadłością. Tu nie ma żartów, tu się filozofuje o naturze istnienia! Ale cóż bardziej niż owego istnienia wieloznaczność, winno stać się przedmiotem ironii, podstawą humorystycznej niespodzianki! Żywszy zapewne byłby dziś Pirandello, gdyby celował nie w tragedijne namaszczanie, a w sceptyczny humor. Gdyż częściej — wbrew Pismu — nie wiara, lecz humor wzrusza skały. Zwłaszcza, jeśli rzecz dzieje się w ód wyższych sfer i jest wykwinina w stylu.

O samym przedstawieniu nie wiem, co by powiedzieć. Staranne? Precyzyjne? Proste? Niedbałe? Nieściste? Pretensjonalne? Zapewne, zapewne. Czy o nieboszczyku w trumnie można powiedzieć, że dobrze wygląda — lub że wygląda źle? I czy można mieć do niego pretensje, że nie żyje? Można tylko zgłaszać zastrzeżenia do żywych, by nie otwierali trumien, jeśli nie postępli władzy wskrzeszenia.

Stabo się natomiast przedstawienie „Jaką mnie pragniesz” wielką apoteozą. Nieznajomej i jej wyglądu zewnętrzne. Ma ona wspanin-

te włosy, cudowne suknie, a niektóre z jej wejść podkreślone są nawet reflektorem punktowym. W tym przepychu apoteozowanej kobiecości nietawo nawet rozeeznać się w aktorstwie Z. Niuwiskiej. Samo aktorstwo jest chyba dobrej próby, ale w osiągnięciu pełnego wyrazu staje mu na przeszkodzie niezbyt właściwy — jak sądzę — kierunek. I nadmiar tonów płacziowych.

Na podkreślenie zastępuje epizod K. Ostaszewskiej w roli obłąkanej. Świetna debiliska maska, znakomita gra rąk, nerwowych, wyrazistych, a niezgrabnych zarazem, ciężkich, jakby nie własnych. Nie ruchoma sylweta i twarz, od czasu do czasu jedno sylabizowane słowo. Maksimum wyrazu przy minimum środków.

Wysmakowane kostiumy A. Majewskiego. Dekoracja obrazu pierwszego nie bardzo mi się tłumaczy. W obrazach następnych — secesja jakby w ruinie i rozkładzie, wybujała i spotworniona. Tak, tu znaleziony został przewrotny stosunek do Pirandella. Dramatyzm wymierającego stylu.

Przekład Z. Jachimekiewicz zaleca się wytwornością i swadą. Pewno i wiernością, ale nie nam, ciemnym, o tym sądzić.

Teatr Stary. L. Pirandello: Jaką mnie pragniesz. Przel. Z. Jachimekiewicz. Reż. A. Młahowska. Scenogr. A. Majewski. As. sc. I. Wisłocka.